

LIPIEC 1920 R.
ZESZYT XIII

Cena zeszytu Mk. 20.—

PLACÓWKA

Ilustracja Polska

Treść zeszytu patrz strona ostatnia tekstu.

ROK IX. WARSZAWA, DNIA 15 LIPCA 1920 ROKU. ZESZYT XIII.

PLACÓWKA
Ilustracja Polska
DWUTYGODNIK

Obywatele Rzeczypospolitej!

OJCZYZNA W POTRZEBIE.

Wrogowie otaczający nas zewsząd skupili wszystkie siły, by zniszczyć wywalczoną krwią i trudem żołnierza polskiego niepodległość naszą. Zastępy najeźdźców ciągnące aż z głębi Azji, usiłują złamać bohaterskie wojska nasze, by runąć na Polskę, stratować nasze niwy, spalić wsie i miasta a na cmentarzysku polskiem rozpocząć swoje stracone panowanie.

Jak jednolity, niewzruszony mur stanąć musimy do oporu. O pierś całego narodu rozbić się ma nawała bolszewizmu. Jedność, zgoda i wytężona praca niech skupi nas wszystkich dla wspólnej sprawy!

Żołnierz polski, krwią broczący na froncie, musi mieć to przedświadczenie, iż stoi za nim cały naród, każdej chwili gotowy przyjść mu z pomocą.

Chwila taka nadeszła.

Wzywamy tedy wszystkich, zdolnych do noszenia broni, by dobrowolnie zaciągali się w szeregi armji, stwierdzając, iż za Ojczyznę każdy w Polsce z własnej woli gotów złożyć krew i życie.

Niech spieszą wszyscy: i ci, młodość i siłę czujący w żyłach, co żelazem odpierać będą najazd wroga i ci, którzy stanąć mogą do pracy w instytucjach wojskowych, by zwolnić z nich i zastąpić tych, co na froncie przydatni być mogą. Niech na wołanie Polski nie zabraknie żadnego z jej wiernych i prawych synów, co wzorem ojców i dziadów pokotem położą wroga u stóp Rzeczypospolitej.

Wszystko dla zwycięstwa! Do broni!

W imieniu Rady Obrony Państwa **J. Piłsudski**
Naczelnik Państwa i Naczelny Wódz.

Warszawa, dnia 3 lipca 1920 r.

WSZYSCY DO BRONI!

Polska otrzymała wolność z rąk Losu. Zapewne wielu patrjotów bądź w sposób mądry, bądź mniej rozumny, oddali siebie sprawie Niepodległości, ale naród, jako jedno potężne ciało i jedna silna dusza, dotychczas drzemał w półletargu. Sfery zamożne naogół uprawiały nadal zbytek i sobkowstwo, warstwy uboższe, podniecone przez niemców i żydów, objawiły bezmyślną chciwość i żarłoczność. W waśniach i sporach nieraz obrzydliwych topniała nasza młoda, nieutrwalona jeszcze niepodległość, aż nadeszły wypadki, odsłoniły rzeczywistość. Ta rzeczywistość patrzy na nas groźnemi oczyma i mówi: brońcie się, bo nikt i nic was nie uratuje; istnienie narodu w waszych własnych rękach. Macie za sobą tylko Boga, jeżeli w niego wierzycie.

Bronić się musimy i obronimy się.

Bronić się będziemy, jak broniła się Francja, gdy zagrażały jej istnieniu hordy najeźdźców. Bronić się będziemy pod wiekopomnem hasłem Dantona, mężczyźni do broni, kobiety w żałobnych sukniach do pracy!“ Bronić się będziemy jak Serbowie, po kilka kroć ogromną przewagą wroga zmiażdżeni, zmęczeni i torturowani, w końcu zwycięzcy, z dumnem przeświadczeń na pokoleń dziesiątki: „Ojczyzna jest naszą ojczyzną, bo myśmy ją krwią urodzili”.

Nie darmo Im większe dzieło, tym wysiłku potężniejszego trza. A cóż jest większego ponad niepodległość narodu?

Rząd wydał dekret o organizacji Armji ochotniczej. Mają się stawić wszyscy. Rozdział pracy obronnej musi być racjonalnie dodokonany.

Poza chorymi, niedołężnymi i dziećmi, próżniactwo ulega narodowemu wyklęciu i pogardzie. Precz z szychem! precz z udawaniem! precz z oszustwem! Każdy, czy nosić będzie broń, czy nie będzie, jest żołnierzem, więc jest na prawie i na obowiązku wojennym. Znika różnica pomiędzy cywilnym a wojskowym i pozostaje tylko różnica pracy zawodowej, jak pomiędzy inżynierem a lekarzem. Każdy może być bohaterem, może być nędznikiem, może być śmiałkiem, może być tchórzem, może otrzymać krzyż zasługi, może dostać dyplom próżniactwa.

Już z pierwszych dni ruchu narodowego widać, że naród wzruszony do głębi rozumie żelazny rozkaz dziejów. Do biur zapisowych Armii Ochotniczej jawią się tysiące i tysiące. Serce wezbrało, twarze pałają, oczy świecą, Duch nieśmiertelny kładzie niewidzialne palce na ramionach Polaków i Polek. Męstwa i rozwagi, brzmi wnętrzna bez słów modlitwa.

I Polska będzie zjednoczona naprawdę, bo stawią się wszyscy. Może po raz pierwszy „jedność” będzie pełną treści, nie będzie frazesem.

Niech żyje Polska, wierna czynem wielka wzajemną miłością!

Tylko mamy święty obowiązek ostrzeżenia. Ostrzeżenia—nie narodu, bo ten ostrzeżeń nie potrzebuje, on żąda organizacji celowej i twórczej. Przemawiamy do wszystkich tych, co stoją na czele rządów, aby narodowego zapału i gatowości nie zmarnowali, lecz aby w takt serc wytworzyli organizację siły zbrojnej obronnej, nie przepartej dla wroga. Bo w tych miesiącach kuje się przyszłość Polski—może na stulecia.

Że w chwili tak wielkiej ośmielamy się wystąpić z uwagą krytyczną i z przestrzeżeniem, wynika to z najwyższego nakazu moralnego. Światłe oko Prawdy i krytyczny wyrok sprawiedliwości są podwaliną każdego dzieła, które ma być udane w robocie, którą naród podejmuje; nie ma miejsca na chochołów, napastujących natchnione lice wiary. Schować te upiory w podziemia, skąd wyszły.

Armja frontowa i armja ochotnicza to razem armja polska, może jedyna w nowych dziejach od dni Grunwaldu. Naród chce, gotów; niechaj organizatorzy staną na wysokości zadania.

Wstępujcie do armji ochotniczej!



Mieczysław Jarosławski.

ARMJA OCHOTNICZA.

Myślisz, czytelniku, że powiem ci coś nowego, coś ciekawego a odpowiedniego dla snoba? — Nie! Obawiasz się może, że znów ktoś zacznie doszukiwać się w tobie sumienia, a schwyciwszy cię za duchowy wyrostek robaczkowaty—sprawi ci przykrość—i to nie!

Chcę tylko abyś wraz ze mną się zastanowił, a może odnajdziesz siebie. Zresztą co dalej uczynisz, o tem będzie mówić potomność. Zapewne ci się dotąd zdawało, że istnieją trzy obozy ludzi: jeden to ten, który na ciebie napada, drugi, ten, który cię broni i wreszcie trzeci, do którego należysz sam.

I w tem złudzeniu leżała twoja naiwność, lenistwo i nieuszanowanie dla samego siebie, wszystko co ci dawało jednak niczem nie zasłużony spokój i bezpieczeństwo.

Dopiero chwila, kiedy równowaga pomiędzy twoim obrońcą a napastnikiem zachwiała się—budzi cię—rozwierasz oczy i chwytasz odruchowo za broń, którąś za niedbał. Ta nagła potrzeba samoobrony, ten instynkt samozachowawczy uświadamia ci prawdę, o której zapomniałeś, że istnieją w życiu tylko dwa obozy: dwie strony walczące, dwie armje stojące naprzeciwko siebie.

Zaniedbany przez ciebie kontakt z frontem nawiązuje się automatycznie i stajesz w szeregu. Wiesz już teraz, że sam jesteś własnym obrońcą i obrońcą tym chcesz być, bo musisz. Zrozumiałeś w tej chwili to, co było oczywistą prawdą wieków wszelkiego życia na ziemi: ginie ten, kto się obronić nie umie i ten, kto nie umie się bronić w zrzeszeniu. I oto armja ochotnicza nie jest już dla ciebie, mój czytelniku, czemś nowem, czemś do czego z trudnością można byłoby się dopiero przyzwyczaić, bo armją tą jesteś ty — wierny obywatel swego kraju, ty, szanujący swoją godność narodową Polak, ty — żołnierz Rzeczypospolitej zawsze i wszędzie. Wszak cała Polska potencjalnie była i jest tą armją ochotniczą i trzeba było tylko jednej chwili grozy, aby prawda ta stała się świadomością, aby podniosła na nogi zastępy wiernych synów swoich.

Dziś rozumiemy, że posłaliśmy na front tylko znikomą część tego zespołu narodowego, dziś zrozumieliśmy, że siła nowej dotychczasowej obrony zaledwie była awangardą.

Olbrzymie rezerwy — to wszyscy ci, którzy dotąd lekkomyślnie pozwolili się uśpić, ci, którzy, lekceważąc niebezpieczeństwo, zażywali już wywczasów śród powszednich kłopotów o urządzaniu wygodnych ognisk domowych.

I w tej nagle rozkołysanej fali rdzennego zespołu narodowego, w tej spokojnej dotąd rezerwie czuć wyraźnie potęgę nieugiętej woli te potencjalne siły w czyn zamienić obronny.

Nazbyt łatwo odzyskaliśmy wolność, aby można uwierzyć w jej trwałość, aby już można było spocząć marzyć o sprawiedliwości poczynań ludzkich.

Zapewne, niema tego złego, któreby na dobre nie wyszło. Prąd elektryczny, który przeszedł w dniach ostatnich po naszym organizmie narodowym, który mu przypomniał, że wojna rozpłomienia się jeszcze na krańcach naszej ziemicy — otrząsnął go z martwicy lekkomyślnego sybarytyzmu, zogniskował odporność w jednym kierunku i podniecił czujność.

I oto dwa najbliższe rezultaty: wróg zastanowi się nad celowością swego natarcia, a żołnierz polski, który dni ostatnich krew przelewał na szerokich polach walki, a cofając się trwożnie oglądał się po za siebie z pytaniem: czy zecz ta Polska istnieje jeszcze za nim? — teraz, słysząc ten groźny dla napastnika a wiarą w ostateczne zwycięstwo tchnący odzew ukochanego kraju: Jestem! Idę... słysząc ten bratni zew — odwróci hardą głowę naprzód i pełen szczęśliwej mocy — uderzy na wrażą kolumnę, choćby murem była, choćby wiedział, że padnie... bo jeśli padnie, to z tą wiadomością, że z krwi jego wyrośnie miljon okropnych mścicieli — ojców i braci jego. Bo łatwo jest umrzeć wtedy, kiedy ostatni oddech bohaterskiej śmierci opromienia ideał wielkiej przyszłości ojczyzny.

A może, może... Czy to prawda, że głową muru nie przebije? A jeśli wróg ustąpi, jeśli się cofnie i powstrzyma swój rozpęd barbarzyński rażony jeno mocą tej ofiarnej woli narodu, jeśli piersi tych, co tam stoją już, wystarczą, to zwyciężymy wtedy dwukrotnie!

Armja ochotnicza, w której każdy z członków z egoistycznego posiadacza własnego wygodnego ogniska przez ideę stał się rzetelnym obywatelem kraju i gotowym do wszelkich poświęceń żołnierzem obrońcą, armja w której karnych szeregach na czas grożącego niebezpieczeństwa stanął cały naród, armja, która groźnie mruknęła pogotowiem wojennem, która chce i może bronić świętej idei niepodległości, armja gotowa szczodrze przelaną krwią bronić dostępu do rodzinnych pieleszy, armja, która jest całym narodem i naród, który w jednej chwili zdolen był stać się armją karnego żołnierza — ta armja, wracając po dokonanym zwycięstwie do swoich ognisk, wniesie do nich nowego odrodzonego w ogniu niebezpieczeństwa ducha i tu opromieni swą teraźniejszość i przyszłość największem może zwycięstwem—bo zrozumieniem, że każdy prawdziwy obywatel kraju nie tylko podczas wojny, ale tymbardziej podczas pokoju jest odpowiedzialnym wobec całego narodu żołnierzem na zajmowanej przezeń placówce.

Naród, który w chwili dziejowej potrzeby umiał stać się karną armją ochotniczą — jest narodem godnym istnienia.

To będzie ostatnim zwycięskim efektem tego wielkiego czynu, efektem, który śród szerokich dróg narodów przyjacielskich i wrogich dostatecznie wyraźnem rozejdzie się echem, że nasza miłość ojczyzny przez długie lata n ewoli, paląca się ukrywanym zniczem, wybuchła dziś w chwili próby płomiennem świadectwem, iż nic dla nas ponad wolną ojczyznę droższego i god niejszego na świecie doczesności nie masz.

Na tarczy lub z tarczą! — za spartanką powtarza dziś *każda* polska matka do pacholęcia lub męża że-

gnając ich na bój podjęty o nietykalność ziemi ojczystej i honor narodu.

Więc kogoż nawoływać jeszcze?

Wszak swoi wszyscy w szeregach...

Nie polska to była matka i nie polskiej to krwi dzieci, które bezwstydnie szukają motywów — zwalniających w dzisiejszej godzinie od służby narodowej.

A że w Polsce mamy przecież, niestety, wielu nie... polaków, o tem wie każdy, a ktoby jeszcze dotąd się łudził, dowie się w armji ochotniczej kogo brakuje śród wolnozaciężnych, bo tam ramię przy ramieniu znajdzie się tylko rdzeń krwi polskiej.

I oto szczęście nasze w nieszczęściu. Poznamy się i odnajdziemy. Armja powstanie z całego polskiego narodu i cały naród odnajdzie się w armji. A nie masz bardziej szczerych i prawdziwych przyjaźni na przyszłość jak te z biwaków.

Tadeusz Karaziński.

ŚWIĘTO BRATNIEGO NARODU.

Posępna groza, jaka rozsnuwa się nad życiem naszem, otwiera szerzej serca nasze, wyczula uczucia, zaostrza widzenie. Rozbudzone myśli, jak jastrzębie krążące, zataczają koła nad każdem zdarzeniem życia, by płodną, krzepiącą otuchę wydobyć. I dlatego dla nas 14 lipca nie tylko jest dniem gorącej sympatji dla wspaniałego, wielkiego narodu francuskiego, jest dniem żywej nauki i refleksji.

W roku ubiegłym witała Francja narodowe swe święto z uniesieniem bezgranicznej radości. Było to upojenie dumne zwycięzców, szał wezbranych uczuć narodowych, święto tryumfu i wyzwolenia. Nie był to obchód polski, obrzędowy, patetyczny i uroczysty, gdzie pod frazesem i szablonem ckliwego patrjotyzmu nie czuje się żywej siły i drapieżnego męstwa, nie drga zwycięsko, pewne swej mocy uczucie zapracowania w trudzie i boju na własną wolność. Niepodległość nasza nie powstała z ofiary krwi świadomie przelewanej, z przepotężnego wysiłku męstwa i ogromu zmagań. Okupiła ją cierpliwa, bierna wierność pokoleń dla idei narodowej. Nie uświęcona żelaznem prawem walki, nie ma odbicia w uczuciowej świadomości narodu, jako siła żywa i istotna, jak krew ożywiająca serce.

Czemże bowiem są święta narodowe? Napięciem uczuć społecznych, błyskiem rozświetlającym duszę narodową. Francja nie zawsze obchodzić będzie święto narodowe w szale uniesień; ujmie uczucia w spokojny nurt, jak pełna rzeka swe wody; ale zawsze odnajdziemy w tym dniu duszę Francji pogodnie uśmiechniętą, mężną i pewną swej siły i ufności w przyszłość; zawsze odnajdziemy na jej dnie zwycięską postawę wobec życia. Zdobyła ją przez straszliwy okup krwi. W tragicznej grze, której stawką były zbawienie i przyszłość ludzkości niosła ona największy ciężar. W przeciągu czterech lat walczyła nie słabnąc, bez przerwy, z uśmiechem bohaterskim, z najstraszliwszem przedsięwzięciem rabunku, morderstwa i spustoszenia, jakie ziemia lub piekło kiedykolwiek poczęły.

W walce tej Francja wykazała zalety i cnoty, przewyższające wszystko, cośmy oczekiwać mogli od narodu, który przyzwyczaił nas jednak spodziewać się odeń tego, co jest sławą i pięknem człowieka. Dała nam niezrównaną lekcję odwagi, ograniczenia się, wytrwania, szybkiej decyzji, spokoju, świadomej godności, panowania nad sobą, humoru, szlachetności rycerskiej, miłosierdzia i poświęcenia całkowitego. Takim był podczas wojny wielki naród francuski, który ucywilizował więcej, niż połowę świata.

Nauczył nas, że cnoty bohaterskie, że idee wieczne, wiodące ludzkość naprzód, tryumfują zawsze, że nic nie jest straconem, dopóki wiara żyje, dopóki honor jest uratowany, dopóki miłość istnieje, dopóki dusza nie poddaje się i że najbardziej dzika potęga nie zwycięży sił idealnych, które są szczęściem, sławą i jedyną racją istnienia człowieka.

Nie tylko dusza Francji odsłoniła swe bezcenne cnoty oporu i męstwa. Uczucie narodowe rozgorzało nowym płomieniem patrjotyzmu. Słabnące wśród szerokich mas poczucie odpowiedzialności za losy państwa w ogniu walk nabrało siły i hartu. Rozwiały się objawy dekadencji i upadku energji narodowej. Dusza Francji odrodziła się i wydobyła z siebie nieprzebrane źródła męstwa. Naród stał się jednym obozem warownym. Lud poznał znowu całą wagę i radość odpowiedzialności za losy państwa, jaka spoczęła w jego odwadze i sile patrjotyzmu. Francja przeżyła jeszcze jedno z tych odrodzeń, odmładzających jej życie.

Lecz początków nowej promiennej epoki, w której naród francuski stał się sztandarem i wodzem walczącej o jutro ludzkości, szukać należy w rewolucji francuskiej.

Głęboka jej płodność i znaczenie nie polega jedynie na obaleniu starego feudalnego ustroju. Dzień 14 lipca nie jest obchodem dnia, w którym płomienny Kamil Desmoulins porywał zebrane w Palais-Royal tłumy okrzykiem „do broni”, nie jest pamiątką zburzenia Bastylji, jest dniem symboliczym poczęcia się nowej epoki. Epoka ta poczęła się jednak na polach bitew o wolność i niepodległość Francji. W ogniu walki lud francuski, ociekając krwią, utrwalał bagnetem swe prawo do wolności. Tam poraz pierwszy święty ogień patrjotyzmu poruszył duszę narodu.

Podobnie wielką chwilę przeżywa dziś i naród nasz, prowadząc śmiertelny bój o niepodległość.

Dziś dopiero, podobnie jak w epoce Wielkiej Rewolucji, uczucie patrjotyzmu ogarnia szerokie masy ludu naszego. Rozbudzenie narodowego instynktu, męska postawa wobec życia, zdobyta w walce o wolność wprowadzi nas jedynie w rodzinę wolnych ludów Zachodu.

Gdy ocalimy swą niepodległość, gdy zdobędziemy żywotne instynkta bojowe, staniemy się godni wolności.

Dlatego witamy dziś święto narodowe francuzów, jako święto, które staje się dla nas znajomem i drogiem, bo poczynamy rozumieć naturę uczuć, z których jest zrodzone.

Idee sprawiedliwości, tryumfu prawa, stają się i naszym dorobkiem, na który pracujemy godnie i ofiarnie. W dniu święta francuzów mamy przeto prawo zwrócenia się do nich z oczekiwaniem pomocy, gdyż przecież krwawiąc się tu nad Wisłą, walczymy w obronie wspólnych haseł cywilizacji, które dzięki zwycięstwu Francji odniosły wielki, lecz nie ostateczny tryumf.

St. Pieńkowski.

W POSZUKIWANIU PANA.

Człowiek utracił pana. Utracił go w chwili, gdy się społecznie i politycznie zdemokratyzował. Utracił go w czasie, gdy jasnem się stało, że dawni panowie tylko już wielkie imiona rodowe nosili, ale w sobie—małość i próchno.

Odtąd zaczyna się w dziejach ludzkich gorączkowy okres poszukiwania pana. Albowiem człowiek, ów przeciętny typ gatunku bez pana żyć nie może. Ta długotrwała, bezustanna niemal burza społeczna, jakiej od wieku XVIII jesteśmy świadkami, — to niepokój bezpańskiej duszy ludzkiej. Nurtuje, wichrzy i wyje, rzuca się i morza ludzkie wypiętrza—w poszukiwaniu pana.

Zjawiają się przeto na ziemi coraz nowi uroszczeńcy do władzy, ale wszyscy—mali i pospolici—giną zanim władzę swą utrwalić zdołają. Ten jest właściwy sens historji dziewiętnastego stulecia. Obecnie, po szeregu prób nieudanych, wytworzył się chaos, w którym dziesiątki rąk chciwych panowania wzajem się szarpią i w mrokach niewiedzy niewolniczego karku gromady szukają.

Na czele życia społecznego kroczy ruchomy obóz cygański, głośny od trwającego wciąż przetargu o władzę, od bitew, bójek i wypraw złodziejskich. Tam arystokraci, dawnych dziedzice papierów, lecz bez tradycji, bez rasy, bez ducha,—zmawiają się z przewódcami chłopstwa, szlachty, mieszczaństwa, robotników, tu zrywają, tam nawiązują umowy,—zależnie od chwilowych fortuny powiewów. Tam kabaretowy wóz socjalistyczny grzmi pod czerwonym sztandarem trąbami tanich haseł i więzi gawiedź wykrzywianiem się błaznów i łamańcami akrobatów. Tam uwija się w maskach gruba plutokracja żydowska. Tam szlachta rzemiennym dyszlem jedzie i chłop szczęścia próbuje. Tam zawodowi z pośród inteligencji rycerze politycznego przemysłu szybkie i krótkie czynią karjery...

I tylko w chwilach grozy ogólnej, gdy wróg się włamie w granice, a cała ta czereda traci głowy, albo cynicznie gra na nieszczęściu narodu, u steru władzy zjawia się pan z urodzenia, ktoś nieznany, mocny i nieustraszony. Ale gdy groza minie, lud pisze mu: „dobrze zasłużył się ojczyźnie”, a obóz cygański natychmiast go do Panteonu przeszłości usuwa. I znów zaczyna się wrzask, trąbienie i cynizm gminnego targowiska.

A poprzez pola instynktu ludowego, w najgłębszej wiedzy podświadomej, jak w prowansalskim obrzędzie pogrzebowym idzie głos i półjęk żałośliwy: „Umarł pan! Umarł pan”!.. I próżno lud szuka następcy. Niema go. Niema. Je-

szcze z tych poszczególnych opatrznościowych mężów chwili i zbawców ojczyzny nie powstał ród, nie powstał stan. Zjawiają się i nikną jak meteory na czarnym, pustynnym niebie władzy istotnej. Otchłań gwiazd oczekuje licznej rodziny słońc dalekich, potężnych, życiotwórczych, samotnych, ale związanych ze sobą siłą praw przedwiecznych.

A tymczasem na targowisku dnia powszedniego odbywa się farsa błazeńsko-małpich zapasów. Lud oklaskuje coraz nowe okazy rozrzutnej w poczynaniach przyrody. Kogoż tu niema? Oto kapitalizm o czerwonych łapach i brzuchu spasionym: głupi, bezczelny i chciwy dorobkiewicz władzy. Oto fijoletowa międzynarodówka arendarzów ubóstwa duchowego i zaświatowych rajów: obłudna sojusznica każdej władzy doczesnej. Oto czerwona międzynarodówka kuglarzów i szalbierzów nauki i moralności: przebrana banda despotów krwi żądnych. Oto czarna międzynarodówka anonimów gwiazdy syjońskiej: giełda czająca się jak ośmiornica potworna, oplątująca twory boże — narody. Oto błękitna międzynarodówka tarcz herbowych, których nosicielami są potomkowie lokajów... Lud oklaskuje wszystkich, lecz każdego po chwili w nicość strąca z pogardą zawiedzionego instynktu.

Więc w braku pana z krwi i kości utworzył sobie człowiek widmo władcy bezcielesne, symbol stanowiciela praw, sprawiedliwego sędzi, wróża nieomylnego—i nazwał go „ludem". Ale do mary tej przyczepiły się wszystkie pijawki, kraby i ostrygi życia—niby do dna oceanicznego okrętu. I obstąpiły ją wkoło wszystkie wieprze wszechstanów, niby dokoła pełnego jadła koryta. I obwiesili ją sobą wszyscy poeci i marzyciele, niby płaczącą wierzbę samobójców. I oto „lud" obrzydł ludowi i stał się dźwiękiem pustym, a władza w mniemaniu wielu—wdową na wieki wieczne została.

Człowiek utracił pana. Ale człowiek, ów przeciętny typ gatunku, bez pana żyć nie może. To, co dotychczas było bezwiednem rzucaniem się po puszczy dziejów, wpadaniem w matnie i obierze, kosztowne krwią miljonów, kosztowne życiem wybrańców tajemniczego delfinatu władzy,— to teraz w najprzedniejszych umysłach wieku świta jako spokojna w pracowni ducha twórcza dziejów konieczność. Umarł pan. Zbliża się chwila jego zmartwychwstania.

Daleko poprzód historji dnia, pokolenia i wieku idą niewidzialne dla tłumu, samopas, samowtór i samotrzeć wywiady ludzi, dla których huragany wojen są uśmiechami brzasku w kosmicznem przesileniu wiosny i lata. Błędem dotychczasowych poszukiwań był zdziczały teren bogactw i materjalnej potęgi. To jest właśnie dziedzina wszystkich samozwańczych sił brutalnych, z natury swej ciężkich i kruchych. To jest dziedzina wszelkiej obłudy i wszelkich pnączów okalających rumowiska tradycyj rodowych. Istotnym tonem macierzystym władzy jest nowa rasa ludzi, którą naród wytworzyć musi. I biada narodom bezpłodnym!

Już dziś, w tym bezbrzeżnym chaosie ludzkim jasno każdy duch zdrowy odróżnia hierarchję typów ludzkich. Typ najprzedniejszy, typ przyszłości dalekiej, ów delfin rodu ludzkiego sam siebie musi odnaleźć i poznać, sam sobie zew i odzew wynaleźć i w tajemniczej walce z otoczeniem zwycięską nogą cygański obóz władzy powszedniej przekroczyć. Tam w oddaleniu, w bezprzykładnej pracy zbiorowo-twórczej powstanie nowy stan, który już jako pan do społeczeństw ludzkich powróci. Z wrzaskiem przerażeń rozpierzchnie się przed nim cały obóz cygański, a lud, a naród pozna go i uzna.

Co ma być zewem i odzewem młodocianego dziś, przyszłego pana? Tarcza Arji, nowa, niewysłowiona jeszcze moralność, która w podstawie swej spoi człowieka w granit cementem praw przyrodzonych, a na szczytach poda mu skrzydła nowych przeznaczeń. Moralność dzisiaj w najgłębszych świata księgach rozproszona, niby zgłoski jednego zdania po różnych zakątach globu ziemskiego z osobna wymawiane, niezrozumiałe przeto, że niezłączone, moralność ta wszystkiemi wraz jej zgłoskami wypowiedziana obudzi posłuszną siłę Sfinksa i uskrzydli szamocącą się Chimerę.

Umarł pan. Zbliża się chwila jego zmartwychwstania.

Armja ochotnicza zasili front!

Ignacy Grabowski.

TOWARZYSZ PROMETEUSZ.

Polska jest niewątpliwie narodem, wybranym przez Boga i, gdzie jak gdzie, ale tutaj napewno zjawi się Mesjasz. Bywali rozmaici Prometeusze: przykuty, rozkuty, bogoburca, ogniotwórca i t. d., w Polsce zjawił się Prometeusz — socjalista, towarzysz Prometeusz. I, również dla odmiany i oryginalności, jak przystało narodowi wybranemu, sęp mu wyżera nie wątrobę, a „mózgi", co już zauważył był Słowacki.

Bo jako unikat wszechstworzenia, jak ów ssak australski, znoszący jaja, zjawiła się u nas literatura zrzeszona, z dumnem godłem wydając manifest: „lewicowa". Że się mogą i powinni zrzeszać dziennikarze — reporterzy i dziennikarze — publicyści, co z treścią ich działalności wcale nie jest sprzeczne, i łączyć, jeżeli potrzeba, pod hasłem takich czy owakich kierunków politycznych, jest to naturalne. Ale, quod licet bovi, non licet Jovi... Jeżeli tak czyni literatura rzekomo piękna, córka Estetyzmu, no to tu wcale niema ani Jowisza, ani Muz. Jesteśmy wobec głębszego niezastanowienia się, zresztą złej woli ani podstępu nie dopuszczamy.

Przedewszystkiem, co rozumiem przez estetyzm? Wyraz ten zwykle wymawia się czczo, bez rozżucia, przeto przesuwa się przez myśl bez śladu. Biorę źródło helleńskie, jako najbardziej mocodawcze.

Estetyzm jest to spostrzegawczość (odczucie) bezpośrednia, zresztą o niezmiernej skali różnic, a wola twórcza (talent + praca) składa materjał spostrzeżony w jedną złożoność (kompozycję), opartą bądź na arytmetycznych (czesnych), bądź na jeometrycznych (przestrzennych), bądź na obojgu stosunkach. Jeżeli wziąć taki punkt wyjścia staniemy natychmiast przy wniosku, że estetyzm związany jest nieodwołalnie z osobowością, albowiem bezpośredniem może być tylko osobowe. Estetycznie inne jest ucho lub oko, inne odczuwania moralne japończyka, chińczyka, aryi, żyda, ale prawem biologicznem dla wszystkich powszechnem jest indywidjum jako element twórczy, a rytm zbiorowy, umiłowanie wspólne pewnych proporcji wynika z pokrewieństw, zatem i z podobieństw rasowych.

Że osobowość sama w sobie jest złożonością, zbiorowością, owocem niezliczonych pokoleń, nie zmienia to naszego rozumowania; osobowość jest pierwszym elementem doświadczennie uchwytnym i początkiem wszelkiego gruntownego ujęcia, jest „psyche". bytu. Jest bo jest, taka nie inna.

Estetyzm dąży do prawdy, co udziela dziełom zeń zrodzonym stosunkowej nieśmiertelności; piszemy: „stosunkowej", gdyż sama prawda jest tylko stosunkiem i jest prawdą tylko dla danej zbiorowości biologicznej, której taki stosunek podoba się. Każda cywilizacja, z umarłych, miewała prawdy własne, gdyż te prawdy stawały się sobie sprzeczne, nastąpiło samozniszczenie i śmierć cywilizacji.

Jak głęboko i wyłącznie estetyzm związany jest z osobowością, dowodzi najzupełniej zrozumiała pretensja wszystkich artystów i poetów do oryginalności. Niema boleśniejszego dotknięcia nad zarzucenie pisarzowi, że nie jest oryginalnym, że jest czyjimś naśladowcą lub epigonem. Każdy broni swej bezpośredniości swoich elementów twórczych: „zarzućcie mi wszystko, co chcecie prócz jednego, nie mówcie, że estetycznie jestem impotens". Zrozumiałe. Każde upodobanie, każda miłość jest doborem, estetycznym hołdem dla osobowości. A na miłości życie stoi.

Estetyzm nie jest antisocjalny, bo wogóle nigdy nie jest *anti;* zajęty jest budownictwem własnem, nie czyjemś, ale jest asocjalny w swem wzniosłem poczuciu osobowem. Artysta nie bierze mandatu od społeczeństwa na zasadzie głosowania chociażby pięcioprzymiotnikowego. Występuje jako dyktator, uzurpator... w takiem zadaniu odpowiedzialność swoista, olbrzymia. Powołał się sam, aby głosić prawdę *wyższą*, niż ta, do jakiej obowiązani są przelotni mandatarjusze społeczni, prawdę na wczoraj, na dziś i na jutro, taką, bez której ciągłość życia pokoleń rwie się. I wtedy staje jako najwyższa siła twórcza obok prawodawców religji.

Jeżeli zaś osobowość artysty ugnie się pod ciężarem, jaki nosi na sobie, jeżeli ulży sobie głoszeniem prawd niższych, płynących według zmienności prądu, to znaczy, że abdykowała, zaszła do rzemiosła zgoła zbędnego, gdyż wtedy dobry but szewca lub gładki zatrzask ślusarza

będzie nieporównie więcej wart i potrzebny, niżeli jej robota.

I dojdzie doń rozkaz Kalifa Omara: „Spalcie je, (książki); jeżeli zawierają to co stoi w Koranie, są zbędne; jeżeli zawierają co innego, są szkodliwe”.

Kalif Omar nie umiera w dziejach ziemi; i dzisiaj odrodził się w Leninie i Bronsztejnie-Trockim czerwonym, jak kilkaset lat temu, w tym samym kolorze stosów inkwizycji, paląc Vaniniego i Giordana Bruna. I wtedy traktat „bestia triomphante” nazywał się „reakcją”, a dzisiaj lewica „estetyczna” w Polsce woła na alarm o „znieważanie” socjalizmu.

Dobrze, że wciągnięto na wagi pojęcie „zniewaga”. Ten wyraz znaczy: zdjęcie z wag, pomniejsze wagi. Może już czas obejrzeć dokładnie same wagi, czy są rzetelne, to jest nie żydowskie.

Tymczasem wezwanie takie, może coś po nad zew, może rozkaz: „Pójdziecie! o wszyscy pracownicy pióra, opatrzymy wasz żywot, i pisać będziecie, co my wam podyktujemy. Oto dwie święte księgi: Marx i Talmud, zawierają wszystko, co wam może być potrzebne. Papier my tylko dać wam możemy, zecerzy złożyć wam zechcą tylko to, co będzie miało naszą pieczęć cenzuralną. Ultimatum”.

Lecz żałosny jest ów manifest estetycznej lewicy, jakgdyby pisano go w przekonaniu, że się strzela w próżnię. Ogół, spróbowawszy niebieskich migdałów, posmakował jakie są gorzkie. Obrzydzono mu potrawy „duchowe”; marzy o mące, o cukrze, a mając dość wolnego czasu, spaceruje po nieustannych uroczystościach galowych. Czuje się oszukany, więc w nic i nikomu nie wierzy.

Po arenie publicznej łażą niepożyte, niczem nieodpędzone figury publiczne, zamiatając codziennie śmiecie. Wypryśnie czasem w górę jakiś Prometeuszek na szczudłach, lecz zaraz upadnie, bo nawet szczudła połamane. Niemasz nic szybującego lotem młodości. Wszystko jest szczątkiem myśli z zużytą treścią, programów bez jutra, nadziei nie ufnej w samą siebie, lecz ciągnącej się naprzód ponuro. Gniją ogromne śmietniska minionej epoki. To wszystko śmierdzi i mocno.

Aż od Wschodu i od Zachodu hukną piorunowe burze, a ulewa spłucze kał i odkazi powietrze. Wielkie zmagania się o niepodległość są dopiero przed nami. Dotychczas karnawałowaliśmy, bawiliśmy się w wolność. Wielkanoc jeszcze daleko.

Eugeniusz Korwin Małaczewski.

O poległym piosenkarzu Żelaznej Brygady.

Druga Brygada Legjonów Galicyjskich miała w szeregach utalentowanych piewców swej chwały i niedoli. Nadszedł czas, po Rarańczy i po Kaniowie, gdy ta bezwątpienia najwięcej bohaterska w tej wojnie falanga młodzieży naszej w poszukiwaniu wolnej Polski rozproszyła się po świecie na rozkaz swego Wodza i tułała się od bieguna do bieguna ziemi, po obu jej półkulach, jako przechodnie wśród ludzi, niosący niespożytość idei wiekuistej na podniesionych czołach i zaciętych ustach.

Wśród owych przechodniów, w imię Polski tułających się po wielkim świecie, byli: Józef Mączka, młody podporucznik, i Bogusław Szul-Skjöldkrona, młodszy wiekiem od podporucznika Mączki major.

Pierwszy był szczerym poetą, drugi szczerym piosenkarzem. A obaj leżą dziś w obcej ziemi. Mączka po Kaniowskiej bitwie w drodze na Murman zległ na tyfus w szpitalu Ekaterynosławskim; wedle jednych wersji — zmarł od choroby, wedle innych, prawdopodobniejszych, bolszewicy, zastawszy go w szpitalu po zajęciu Ekaterynosławla, zwolnionego z pod niemieckiej okupacji, wywlekli go z łóżka w gorączce, boso na śnieg i za to, że był oficerem polskim, ustawili pod więziennym murem na rozstrzelanie. Szul zaś przedarł się w swoim czasie na Murman, walczył tam przeszło pół roku, potem przez Francję z Armją Hallerowską powrócił do kraju, aby wojować w dalszym ciągu i między atakiem a kontratakiem komponować, zbierać i spisywać ukochane przez niego piosenki żołnierskie.

A dnia 30 maja r. b., prowadząc osobiście swój bataljon do szturmu na pozycje bolszewickie pod Czetwertynówką, na Ukrainie, zginął

Z ciężkich chwil...



A. Grottger. Rok 1863.

Z ciężkich chwil...



A. Grottger. Znak.



Tadeusz Pruszkowski. Z północy...



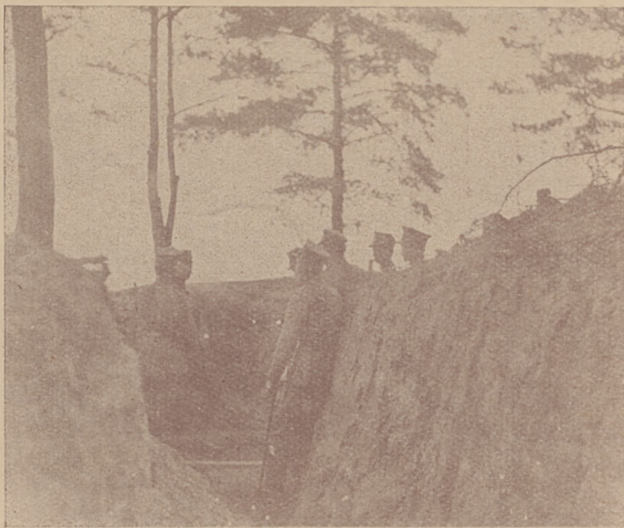
Złożenie do grobu zwłok ofiary bestjalskiego mordu czeskiego, ś. p. prof. Józefa Wiśmierskiego.



Zrujnowana przez bolszewicką artylerję kaplica na Wołyniu. Fot. J. Głogowski.



Kompanja w powrotnej drodze na moście przed spaleniem. Fot. J. Głogowski.



W okopach 2-ej dywizji piechoty.



Przygotowywania kawalerzystów z rekruta świeżego zaciągu.



Nasze tabory zachowują ścisły porządek w powrotnej drodze. Fot. J. Głogowski.

jak donosi nam komunikat sztabowy, śmiercią bohaterską. Umierając nie miał jeszcze dwudziestu pięciu lat.

Nie będę tu kreślił życiorysu poległego. Ubogim i jednostajnym jest żywot żołnierski, ale ma w sobie zarazem taką wspaniałość, że dokładnie opisać go można tylko w powieści na miarę dzieł Żeromskiego, w jakimś kilkuset stronicowym poemacie, napisanym w prozie realistycznej krwią i łzami z pod serca. Nie będę więc tu pisał życiorysu Szula — musiałbym, bowiem stworzyć dzieło, które czytelnik po przeczytaniu zamyka, z uczuciem, że stał się lepszy, że w tej naszej powszedniości wojennej, w tej wspaniałej nędzy żołnierskiej jest coś większego nad życie i mocniejszego nad śmierć. Mniej napisać nie wolno o takim żołnierzu, jakim był Szul-Skjöldkrona, bowiem jego dwadzieścia pięć lat bytowania wśród żywych streszczają się pokrótce w tem, że urodził się w Polsce, był skautem w chłopięctwie, był żołnierzem za młodu, gdy Ojczyzna z martwych wstawała, a poległ w Jej obronie, jak tylu, tylu innych. Wielkie są w swej zwyczajności dzieje młodzieńca polskiego w tych latach. Oto jest człowiek!

Jako towarzysz poległego nietylko w tułaczkach rosyjskich i murmańskich, lecz i kolega jego po piórze (obadwaj grzeszniśmy niejednym rymem na cześć Polski i Jej żołnierza) będę mówił tutaj o Szulu-Skjöldkronie, jako o poecie—piosenkarzu.

Czem jest piosenka żołnierska, będąca niejako kwiatem cudownym, wetkniętym rzewnie i fantazyjnie do lufy karabina, cytuję to poniżej z przedmowy Szula do jego wydania „P i o s e n e k l e g u n a t u ł a c z a".

„...I rusza legun w świat, naciskając czapkę wyszarzaną na uszy, w łachmanach, z dziurami w butach, dalej i dalej od domu, nieraz już prawie zrezygnowany, lecz zawsze z iskierką nadziei, że

„Co krok — do naszej Ojczyzny
jest to o jeden krok bliżej".

Wejdź między nich, wejdź w szary ten tłum żołnierski.

Stań się sam szarym relutonem, a usłyszysz jeden głos szczery, nieskrępowany niczem, ani uprzejmością, ani tem „wedle rozkazu", usłyszysz głos duszy żołnierza, jego w trudach i bolach zrodzone dziecię: żołnierską piosenkę.

Żołnierz bez swej piosenki pozostałby sfinksem, istotą martwą dla ogółu, a dla siebie nudną. Żołnierz bez piosenki jest niemy i ponury...

I dlatego bierze ze sobą śpiew swój wszędzie...

...Żołnierska piosenka to — sam żołnierz z plecakiem, wyładowanym do niemożliwości, idący borem-lasem i od wsi do wsi, bałamucący na prawo i lewo, idący do boju, jak w pląsy, kpiący ze wszystkich, wszystkiego i z samego siebie, opłakujący po drodze — mimochodem — poległych kolegów i dążący drogą, wiodącą

„Przez równik, to znów przez biegun
co krok przez mogiłę świeżą,
w której o Polsce śni legun, —

do Polski, której ślubował, że

„...póty bojowych nie zwinie proporców
i póty spokoju ni chwili nie zazna,
aż wygna z ojczyzny ostatnich zaborców".—

Oto jak Szul rozumiał piosenkę żołnierską.

W imię umiłowania swego dla piosenki żołnierskiej zrobił z niej największą — po za wojskowością — pasję swego życia. Wprost wzruszającemi są dzieje powstania wydanego przezeń zbioru „Piosenek żołnierza tułacza". Zebrał tam 217 piosenek z tej wojny. Polował na nie wszędzie, jak zapalony myśliwy na rzadką zwierzynę. Zbierał je, ten dorosły oficer, zdolny major sztabu generalnego, z zamiłowaniem chłopaka-skauta, układającego album z motyli. Umiał je wszystkie na pamięć ze słów i z melodji i zawsze obładowane miał niemi wszystkie kieszenie. Notował je na placówce w polu, na etapach całej tułaczki Żelaznej Brygady, rozrzuconych na dziesiątki tysięcy kilometrów. Przeglądał i dopełniał swe zbiory siedząc w więzieniach moskiewskich „czrezwyczajek", w których więziony był w drodze na Murmańsk. Pracował nad niemi wciąż jeszcze, gdy już dowodził załogą polską w Archangielsku, „gdzie nietylko pamięć, lecz i atrament w kałamarzu na stole zamarza", jak wspomina w swej przedmowie do "Piosenek".

Ten człowiek „brał ze sobą śpiew swój wszędzie". 3 pułk Legjonów o tem pamięta.

Nigdy nie zapomną Murmańczycy Bogusława Szula; ilekroć o nim wspomną, będzie stał im zawsze w oczach, jak wtedy — w dalekiem zaśnieżonem mieście nad Białem Morzem — w pośrodku koła żołnierskiego, wysoki, wysmukły, z piękną blizną na podbródku, który mu kiedyś roztrzaskała kula z Brusiłowskiej armji pod Gruziatynem, z brylantami niewypowiedzianej leguńskiej radosności w oczach, dyrygujący śpiewaniem jakiejś nowej, własnej jego

piosenki, skomponowanej tuż na poczekaniu. Ten człowiek, powtarzam, brał ze sobą śpiew swój wszędzie, rzucał go mostem od pięknej swej duszy ku sercom żołnierskim i stwarzała się wtedy chwila, piękna jak sama piosenka, śpiewana po polsku na ziemi obcej, w kraju dalekim.

Ludziom znającym go osobiście, przesłania Szula—poetę Szul—namiętny zbieracz piosenek, dyrygent improwizowanych chórów żołnierskich, footbalista zajadły, dusza każdej zabawy żołnierskiej. nie różniącej się od hucznych rozbrykanych zabaw sztubackich, a kończącej się zawsze śpiewem chóralnym, z całego gardła, „z życiem, panowie", jak to się woła w mazurze, tańczonym tak, że szyby dzwonią i drzazgi z podłogi od hołupców lecą. Kto znał Szula, ma zapewne takie wrażenie, że ten dzielny major cudowne miał życie, bo przewojował je, a przedewszystkiem prześpiewał całe.

Ale był w nim nadto jeszcze poeta, ów „pieśniarz szczery", nieodłącznego od legjonów i powstańców polskich typu Godebskich, Romanowskich i Mączków.

Cudownym jest rodzaj poezji, z pod pióra żołnierskiego zrodzonej na wojnie. Niema w niej nic z bezecnego kunsztu rymopisów, którzy będąc w cywilu w kwieciu lat, rymują wytwornie niedołężne inwokacje na temat zbawiania Ojczyzny i bohaterstwa żołnierza, z którego w każdym wierszu rytmicznie puszczają krew w ilościach potwornych, jak weterynarze.

Poezja Romanowskich i Mączków jest zawsze szlachetna w wyrazie, jakaś wstydliwie wprost zwyczajna, niewielosłowna, prosta jak spojrzenie żołnierza, patrzącego w oczy śmierci wojennej.

Najczęściej jednak tryska z niej najsłoneczniejszy promień duszy męskiej — humor serdeczny.

W to wszystko wyposażona była hojnie Muza poetycko-piosenkarska Szula-Skjöldkrony.

Redakcja daje poniżej kilka jego wierszy-piosenek, które mogliśmy dostać narazie. Zaznaczam, że niema dotąd wydania poezji-piosenek Szula i są one rozsiane po jednodniówkach legjonowych. Parę piosenek znajduje się w zbiórku „Piosenki leguna tułacza" (nakład księgarni J. Czarneckiego).

A jednak w tym przypadkowym układzie utworów Szula, podanych niżej, jest cały autor, jak był nim zawsze wszystek w każdym swym wierszu-piosence.

Czytelnik znajdzie w nich i wspaniały tragizm epicki—w pieśni o „*Brygadzie Żelaznej Karpackiej*", i arcydzieło piosenkarskiej prostoty, na podobieństwo bezimiennej poezji ludowej („*Lśnią rabatów jasne zorze*") i ów humor serdeczny — najsłoneczniejszy promień duszy męskiej — w piosenkach: „*Zachciało się raz ułanom wojny*" i „*Nasza artylerja*". Jakiem że bajecznem jest to szelmowskie wydrwiwanie przez piechura takiej jazdy, jak ułani Rokitniańscy i takiej artylerji, jaką była świetna baterja oficerska na Murmanie, która lubo pukała z podłych, starych jak świat desantówek, zadziwiała swą precyzją i brawurą niemrawe, bezradne w błotach tundry podbiegunowej wojska Ententy. Te dwie piosenki są doskonałym wyrazem tego wiecznego antagonizmu, który w każdej armji kwitnie między rodzajem a rodzajem broni ku uciesze jednostajnego żywota wojenników. „*Było to nad Dźwiną*" i „*Lamenty podbiegunowe*" są znów humorystycznymi monografjami dziejów oddziałów polskich na Murmanie.

Każda piosenka, pochodząca z pod pióra Szula-Skjöldkrony to zaiste kawał świata żołnierskiego, załamanego w pryzmacie wielkiego ukochania Ojczyzny, zamiłowania w żołnierce, świata widzianego przez owe brylanty niewypowiedzianej leguńskiej radosności w oczach autora.

Odszedł od nas, a jednak jest wśród nas. Pozostała po nim na tym świecie polskim błękitna smuga z jego radosności piosenkarskiej. Wypędziwszy z ojczyzny ostatnich zaborców, zażywa teraz wytchnienia wiekuistego. Jakby się wyraził jaki rycerzyk z Trylogji sienkiewiczowskiej: pełni on służbę w kompucie niebieskim, dodajmy od siebie—zaciągnął się tam do jakiejś drużyny skaungu niebieskiego, do jakichś legjonów bożych i napewno układa dla nich i śpiewa swe piosenki.

Ochotnicy! Ojczyzna oczekuje od was spełnienia obowiązku!

Bogusław Szul-Skjöldkrona.

PIOSENKI.

Brygada Żelazna Karpacka.

Przez trudy i znoje, przez walk krwawych burze,
Z pogardą dla śmierci, wesoła, junacka,
Wciąż idzie niezłomna w krwi własnej purpurze
Brygada żelazna, karpacka.

Nie zmoże jej, póki podźwignie broń ramię,
Ni podłość moskiewska, ni buta krzyżacka.
W bój pójdzie zwycięski i wrogów przełamie
Brygada żelazna, karpacka.

Więc, chociaż do Polski ciałami szlak ścielem,
Choć nieraz pięść wroga śmiertelny cios zada,
Znów wstanie potężnym spraw świętych mścicielem
Karpacka, żelazna Brygada.

I póty bojowych nie zwinie proporców,
I póty wytchnienia ni chwili nie zazna,
Aż wygna z Ojczyzny ostatnich zaborców,
Brygada karpacka, żelazna.

Lśnią rabatów jasne zorze.

Lśnią rabatów jasne zorze —
Ułani jadą.
Hej — hej! — wielki Boże —
Z wielką paradą.

Słońce im promienie złote
Posyła w dani
Hej — hej! na ochotę
Jadą ułani.

Jeden mówi do drugiego:
Wianeczek płynie
Hej — hej! patrz kolego,
Hań po głębinie!"

Drugi mówi do trzeciego:
Wstrzymajmy konie!
Hej — hej! stój kolego
Dziewczyna tonie".

Trzeci ułan — chłopię młode,
Nim to ochłonął,
Hej — hej! skoczył w wodę
I sam utonął.

Lećże koniu poprzez blonie,
Z siodłem do domu
Hej — hej! o mym zgonie
„Nie mów nikomu!"

Nie powiadaj w białej chatce,
Żem zginął w fali
Hej — hej! ojcu matce,
„Boby płakali!"

Lecz wieść taką zanieś w chatę
Żem druhów wiele
Hej — hej! na bogate
„Sprosił wesele".

Zachciało się raz ułanom wojny.

Zachciało się raz ułanom wojny:
Pytali się, gdzie jest front spokojny —
Gdzieby kule nie świszczały wiele,
Gdzieby bardzo nie wyły szrapnele.
Więc przybyli na wołyńskie błota,
Gdzie po szyję mokła już piechota,
A ona ich wdzięcznie przyjmowała
I każdemu upominek dała.
Więc jednemu głowicę od szabli,
Której brzeszczot dawno wzięli djabli,
A drugiemu bagnet z „Mannlichera",
Którym legun konserwy otwiera,
A trzeciemu zegar od szrapnela,
Choć nie wiedział jak się z tego strzela.
Oni zaś przybywszy z tem „w gród Lea"
Blagowali, że to są trofea!
A czyście ich w polu gdzie widzieli?
Ciekaw jestem, skądby się tam wzięli —
Przecież oni wędrują bez przerwy
Wciąż—od jednej do drugiej rezerwy.

Było to nad Dźwiną Północną.

Prawie pięć tysięcy, a może i więcej
Łaziliśmy ponad Dźwiny brzeg,
Naokoło błocka i piechota szkocka —
Mało brak, aby się człowiek wściekł.
Francja, Anglja, Ameryka, „Sławo-bryt", „dywizja dzika",
Włochy, Mochy: niech bolszewik mores zna!
Niech bolszewik rabuś mores zna!
Czary jakieś w tem być muszą,
Żeśmy z tego wyszli z duszą:
Snać już legun szczęście ma.

Szliśmy do Kotlasu bardzo wiele czasu,
Lecz on chytrze wciąż uciekał gdzieś;
Gdyśmy byli blizko zmieniał stanowisko
I znów bracie w drugą stronę leź!
I był Kotlas ten daleki w górze, to znów w dole rzeki
I wciąż wiara za nim tam i nazad szła;
I wciąż wiara tam i nazad szła.
Czary i t. d.

Wielkie szkockie wodze, brwi zmarszczywszy srodze,
Uradzili bolszewika zgnieść,
Lecz pomniejsze Szkoty mają mniej ochoty,
Na okopy bolszewickie leść.
I z takiego też powodu, to do tyłu, to do przodu
Robią Szkoty ofenzywę, że aż ha!
Robią ofenzywę, że aż ha!
Czary i t. d.

A szkocka taktyka — między bolszewika
Oraz Szkota — każe „Polish" pchać.
Więc, gdy jesteś Polish, choć spać może wolisz,
Musisz ciągle rolę tarczy grać:
Więc w Puczudze w błotach top się, w Tojmie, Borku, Nondrze, w Topsie,
Niech ci Tulgas, Plos, Kurgomień szkołę da!

Niech ci Cikucicha szkołę da!
Czary i t. d.

Gdy z rozkazu mocy, jechać ku północy
Już mieliśmy, wpada Edwards w lot:
„Panie, co pan czynisz! Z nami bez was „finisch"
„Bez Polaka przepadł „Royal Scott".
Lecz nam przeszła już ochota i do Szkota i do błota,
Więc ku Archangielsku oddział sznurem gna.
Czary i t. d.

Lamenty podbiegunowe.

Straśneż to dziwy, Boże apostolski!
Wybrał się legun na obronę Polski,
Chciał bronić kraju nieszczęśliwy legun,
Obronił legun.

Tak nami dziwnie kręci ręka Boża,
Chciałeś mieć Polskę z dostępem do morza,
Zdobyłeś dostęp swoim krwawym potem
Tam i z powrotem.

Zwiedziłeś bracie świata kawał srogi,
W różnycheś krajach poobijał nogi,
Ażeś tu przyszedł stare mrozić gnaty
W kraj lodowaty.

Lecz tu cię straśna czekała udręka,
Bo tu się bidny człowiek cięgiem lęka,
Żeby mu koło nie spadło na głowę
Podbiegunowe.

Tu miast na koniach naród na psach jedzie,
Tu krowim mlekiem dojom się niedźwiedzie,
Tu wielgoryby rosnom co dwa kroki
I jensze foki.

Noc całom zime, że nie ujrzysz słońca,
Bo nie chce wschodzić, w lecie znów bez końca
Wciąż jeździ z jednej w drugom nieba strone,
Jak pomylone.

Więc bolszewickie przechytrzaj wybiegi,
Pod Obozierskiem, lub w błotach Onegi,
Marźnij nad Dźwinom, lub moknij do woli
Na moście w Koli.

A, gdy już z frontu powracasz nareście,
Nie myśl, że spoczniesz w jakiem ludzkiem mieście,
Bo cię wpakujom — o Matko Anielska!
Do Archangielska.

I znów tłuc mustre każom ci do maja,
Różnym sposobem dajom dziwnom szkołe,
A położenie takie nie wesołe,
Marnie nastraja.

Zamiast jedzenia dajom nam bez przerwy,
Przeróżne małpy i inne kónserwy,
Że niezadługo staniesz się na czysto
Konserwatystą.

A zamiast chleba suchary — galety,
Co dentystyczne siedzom w nich zalety,
Bo nieostrożnie włóż bestje do gęby
Wylecom zęby.

Haruj więc bracie i nie miej pretensji,
Jak bez pół roku nie dostaniesz pensji,
Choć przyjdzie wreszcie, świcąc cielskiem gołem,
Siąść pod kościołem.

O, gdyby mi kto postawił pytanie,
Czego chcesz teraz, to odpowiem na nie:
Ja nie chce wiele, tylko jedno wspomne
Życenie skromne.

Z pruskiej korony już zrezygnowałem,
Moge nie zaraz zostać gienerałem,
Tylko nam bilet daj Boże łaskawy
Stąd do Warszawy!

Sierpień, 1918. Front Murmański.

NA CZASIE

Polska idzie.

Polska idzie... lecz przy kroczących obok Niej „olbrzymach“ stała się tak mała, że ledwo dostrzedz można jej królewską postać.

Zaciekawiony, pytam jednego ze skromniejszych przechodniów, kto zacz są te „wielkoludy”.

— To rodzina Megalomanów—odpowiedział, trwożliwie rozglądając się wokoło — przyjechali z krainy pomniejszania najszlachetniejszych uczuć i instynktów i tak wyrośli na kołtuństwie własnego wyrobu, biurokratycznym nawozie i plackach karjerowiczostwa, upieczonych w ces. kr. kuchniach, że nawet ojczyzna musiała im zejść z drogi na dalszy plan, bo tylko siebie a nikogo więcej nie widzą...

Tu urwał mój rozmówca, jakby zatrwożony że zawiele powiedział, a uszy wywiadowców pochwycą jego nierozważne słowa, przeniósłszy je natychmiast telefonem denuncjacji do świadomości którego z wszechwładnych Mężów.

Naraz zauważyłem że pełni cesarsko-królewskiej buty Megalomani, zabiegają jednak skwapliwie około jednej z urodziwych, fertycznych, wykręcających się na wszystkie strony, i dobrze wygadanych niewiast.

I znów, wiedziony ciekawością, spytałem o nazwisko dámy swojego towarzysza.

— To...

Lecz nie dokończył i nagle urwał, bowiem niewiasta przycisnęła do ust wiszący u jej gorsu na złotym sznurze róg a głos jego rozniósł się daleko na cztery świata strony.

...I umilkł naród, stali wszyscy zadziwieni blagą zuchwałą i wrzaskliwą pieni...

Nie potrzebowałem już teraz pytać mego rozmówcy kto jest owa niewiasta, bowiem pokłonili jej się nisko Megalomani i rzekli zgodnym i doniosłym głosem:

„Witaj Reklamo, mający kręcić narodem pokłon ci oddają”...

„Niech tony twojego rogu, piorunem ogłuszą naród i jak błyskawicą go oślepią, by nie poznał kłamstwa, któreśmy w pozory prawdy przyoblekli...

„By nie poznał że chcielibyśmy zaborczością naszych rąk wszystko zagarnąć, choć natrętny przeżytek w postaci sumienia szepce że nie mamy do tego ani kwalifikacji, ani też prawa...

Zastanowiłem się głęboko nad tyradą usłyszanych słów, które wśród tonów rogu Reklamy, jak języki płomieni staro austrjackiego ducha czerwieniły się, tylko nie od wstydu, lecz od gorączki władzy, chciwości i posiadania.

— — — — — — — — — — —

Gdy pisałem ostatnie słowa artykułu, nadeszły wieści z frontu, które zelektryzowały całe społeczeństwo, przywołały je do podporządkowania się karności wojskowej, wzywając do spełnienia najświętszego obowiązku.

Każda ręka do pracy, każda pięść do uderzenia wroga jest dziś drogocenną dla ojczyzny. Niech więc tych o których wspominałem wielka chwila dziejowa, którą przeżywamy, cudownie uzdrowi, jak Łazarza gnijącego na kupie śmieci, i da nam z nich zdrowy i uczciwy już organizm, który będziemy mogli skutecznie zużytkować przy budowie podwalin gmachu Rzeczypospolitej Polskiej.

W. Z.

CZYŚCIE SIĘ JUŻ ZAPISALI DO ARMJI?
CZAS NAGLI! OJCZYZNA W POTRZEBIE!

Camera lucida.

Słyszeliśmy i wiemy napewno o okrutnych zwierzęcych czynach Niemców w Belgji i we Francji, a Austrjaków w Serbji, sami, w armii bezustanku doświadczamy bolszewicko-żydowskich tortur i pastwień się, ale fakt, jaki zdarzył się w Warszawie, w Polsce, przechodzi wszystko swoją bezprzykładną nikczemnością moralną. Żadnego płazu niepodobnaby użyć do porównania.

W remizie mokotowskiej „tramwajarze“ to jest przedstawiciele „pracy“ pobili i pokrwawili młodych chłopców z Samopomocy. Zatem dokonali tego ludzie dorośli, rozważni, porządnie ubrani, obywatele równej i niepodległej Rzeczypospolitej, z których każdy ma pretensję do teki ministerjalnej, najmniej do portfelu, kultury i sztuki. W rzeczy samej ten czyn będzie wpisany do księgi kultury polskiej. Żadna siła ludzka nie wymaże jego konsekwencji. Fatum wyciśnie na nim swą czarną nieśmiertelną pieczęć.

I już nie o gromadę zdziczałych nędzników tu chodzi, nieczujących się towarzyszami pracy, którzy niszczą pracę. Człowiek światły musi inaczej szacować czyny nóg lub tułowia, niż czyny głowy. Gorzej, że ta głowa, bądź co bądź siedlisko świadomości, nie wykazała żadnego ludzkiego odruchu. Z letargicznemi oczyma przyjęła ten fakt, jak przyjmuje naprzykład, zwykłą burdę uliczną. Przeszła dalej i spokojnie do swego one stepe'u lub oberka i do sprzedaży filantropijnych kwiatków na rogach ulic. „Ciastka na flotę“, „wiśnie na armję”, „truskawki na plebiscyt”. Szeroki ogół społeczeństwa nie odczuł wcale ogromu zbrodni mokotowskiej. I na tym polega potęga ciemności, tragizm położenia.

Rząd? On trzyma się zasady nie sprzeciwiania się złu. Istnieje pogląd, iż nadmiar złego wywołuje wzrost dobra. Wprawdzie nikt nigdy jeszcze nie widział, aby kąkol pomógł pszenicy, ale przecież poglądy się sługusami instynktów; gdzie jest nadmiar zła, tam dobro rosnąć nie może, bo go już niema.

Niewolnik potrzebuje *pana*. Lecz człowieka, któryby miał w sobie dumną cnotę „pańskości“ znaleźć nie łatwo.

J. Cr.

Na rękę Trockiemu.

W dziennikach naszych czytamy: na stronie pierwszej — depeszę o zarządzeniach agitacyjnych Trockiego przeciw Polsce. Trocki, zamierza stworzyć prócz frontu wojskowego jeszcze jeden front; ten drugi—wewnątrz Polski; wysyła w tym celu do nas zmobilizowanych z całej Rosji komunistów polaków w liczbie 2.000 podłych dusz i obrotnych jęzorów i przeznacza na smar do wozu, na którym ci nasi kochani powracający uchodźcy zjechać do nas mają. 20.000.000 (dwadzieścia miljonów) rubli carskich. Tyle — na stronie pierwszej dzienników.

Na stronie zaś czwartej uderza uważnego czytelnika, jakoby echo dalekie tej wiadomości, dochodzącej do nas z Bolszewji, echo swoiste i majufesowo, że się tak wyrażę, melodyjne.

Oto w skromnej rubryczce dziennikarskiej pod tytułem „Rynek pieniężny”, odzew do wiadomości o 20.000.000 rubli carskich, przeznaczonych przez Trockiego dla zrujnowania naszej Ojczyzny, brzmi:

„Ruble mocno:
„Ruble carskie w pięćsetkach 300—303
"Ruble carskie w setkach 293”.

Rubel do niedawna trzymał się gorzej. Czynniki zamaskowane grały na jego zniżkę. Żydzi skupowali go chętnie, zgóry będąc przygotowanymi, że nadejdzie chwila, gdy będzie się go windowało na łeb, na szyję, wobec czasowych niepowodzeń oręża polskiego. Jak widzimy chwila taka nadeszła. Rubel tym wyżej jedzie, im głębiej hordy bolszewickie wdzierają się do ziem, opuszczanych przez wojska polskie krok po kroku, w walce zaciętej, bohaterskiej, ale chwilowo nierównej.

Zadziwia jednak bierność nasza własna, bierność wobec bezczelnego podnoszenia się rubla u tych czynników rządowych, których obowiązkiem byłoby walczyć z tak nienormalnym wzrostem u nas w kraju waluty państwa, z którem Polska jest w stanie wojny. Bierność społeczeństwa w tej naglącej sprawie jest również niechwalebna.

Wprost skandalicznem jest bierne przypatrywanie się temu, jak suma 20.000.000 rubli carskich, rzuconych przez Trockiego na Polskę, niby jeszcze jedna z czerwonych armji, mających przerwać nasz front i podkopać front wewnętrzny,—rośnie z 40.000.000 marek do 60.000.000 marek i wyżej.

Nie zwalczając tego zła, działa się na rękę Trockiemu i jego wysłannikom z pod ciemnej, raczej z pod czerwonej gwiazdy i współdziała się niejako z owymi synami marnotrawnymi, którzy, jak słychać, wracają do Polski w liczbie 2000 spodlonych dusz i wyszczekanych na wiecznem wiecowaniu jęzorów, aby propagować raj bolszewicki i wtrącić kraj w otchłań nędzy materjalnej i upodlenia moralnego.

Baczność rodacy! Ruble carskie w cenie rosną... Jest źle.

K.-M.

Z frontu cywilnego.

Polacy żyjący w Polsce dzisiejszej, kiedy po latach wojen i trosk państwowych zaświta dzień odpocznienia po ciężkich walkach w obronie granic wschodnich i zachodnich, — będą mogli powiedzieć dorastającej młodzieży, której Polskę przez nas wywalczoną, zostawią w spuściźnie:

— Walczyliśmy na wschodzie tej ziemi i na jej zachodzie, w podartych mundurach i strojach zwyczajnych cywilów. Lecz jednakowo padali ci i tamci. Nie możemy wyliczyć wszystkich nazwisk, nawet tych tylko, którzy walczyli bez mundurów. Wielka była liczba ludzi odważnych, ważących sobie sprawy Rzeczypospolitej więcej, niż życie własne. Stawali oni na każdy posterunek zagrożony i ginęli, gdy zaszła potrzeba, nie gorzej od żołnierza, który w bagnach Białej Rusi i w stepowych polach Ukrainy padał w objęcia śmierci, nie wypuszczają karabina z rąk konających.

W istocie—jest wiele bohaterskich jednostek, nie paradujących w mun-

durze, którzy jednak ratują honor ogółu mężczyzn, prowadzących w cywilu podczas tej wojny polskiej żywot wygodny, milszy dla nich od niepewnej chwały wojennej.

W pierwszym rzędzie wymienimy nazwisko ś. p. profesora Wiśmierskiego, męczennika sprawy polskiej na Spiszu, zamordowanego w sposób urągający wszelkim opisom przez Czechów, nader wojowniczych w stosunku do bezbronnych pionierów polskości na terenach plebiscytowych a zwłaszcza—wobec naszego zaabsorbowania się na wschodnich frontach. Miejmy nadzieję, że nazwisko tego bohatera, poległego na naszym froncie cywilnym (w dziale rycin niniejszego zeszytu patrz zdjęcie fotograficzne z pogrzebu ś. p. Wiśmierskiego) nie będzie zapomniane rychło. A jeśli zatrze się w ludzkiej pamięci, to chyba przez wejście do zaszczytnego szeregu innych męczenników sprawy narodowej, do legjona ludzi wielkiego serca i niezłomnej woli, do złotej księgi polskiej wszystkich tych, którzy imiennie i bezimiennie walczyli o wielkość naszą i polegli za lepszą przyszłość swego Narodu.

M.

Ś. p. Jan Slósarski,

ppor. W. P.

W obronie wyzwolonej Rzeczypospolitej ginie codzień po kilka najlepszych jednostek, jakiemi tylko poszczycić się może młodzież nasza, stojąca dziś prawie wszystka pod bronią na froncie, od południa ukrainnego do dalekiej północy rozwartym szeroko, niby rozłożone ramiona jakiegoś zbiorowego Rejtana, który położył się na progu swej ziemi i wie, że dopiero po jego trupie do ukochanego kraju wtargnie horda żydowsko-mongolskiej dziczy. Z liczby tych ofiarnych dusz, które odleciały z młodych, powielokroć wrażą kulą przeszytych ciał, był właśnie ś. p. Jan Slósarski, ppor. W. P., wskutek ran odniesionych na froncie zmarły w Warszawie d. 14 czerwca r. b.

Był to zaiste jeden z tych rycerzy, bez trwogi i skazy, spełniających swój obowiązek bez zastrzeżeń, do ostatniego tchnienia. Jako oficer korpusu gen. Dowbora-Muśnickiego, wzięty był w r. 1918-ym do niewoli przez bolszewików. Wydostaje się z niewoli, by powrócić do swego oddziału w Bobrujsku. Po powrocie do kraju na pierwszy apel staje do obrony Lwowa i w ciągu pięciu miesięcy broni tego bohaterskiego miasta od naszych dzisiejszych sprzymierzeńców.

Podczas wielkiej ofensywy na Kijów, przeniesiony na nasz front południowy, w d. 8 maja odniósł w boju pod Kahorlikiem śmiertelną ranę w pierś i kręgosłup. Wierne ręce żołnierskie wyniosły go z pod kul. Żył jeszcze w ciągu pięciu tygodni, zanim zmarł w szpitalu warszawskim.

Zmarłego spotkała na kilka dni przed zgonem chwila dla takiego, jak on żołnierza, niezmiernie wzruszająca i szczęśliwa, Wódz Naczelny przesłał mu swój portret z własnoręcznym podpisem.

Rodzinie inżyniera Slósarskiego, zamieszkałej na Włocławku, która wydała tego dzielnego oficera, Polska winna jest dług wielki, dług największy: krwi i życia dwudziestoczteroletniego zaledwo syna - jedynaka, oddanego niepowrotnie naszej słusznej, wielkiej Wojnie.

E. M.

Ochotnikom i ochoczym.

Odpowiedzi redakcji.

St. Olchowskiemu i jego współpracownikom. Chociaż pracę naszą podejmowaliśmy nie dla wyrazów wdzięczności, lecz z nieopuszczającą nas troską o prawdziwe dobro Ojczyzny, przyznać musimy, że chwila bogatych żniw z naszych wytrwałych posiewów publicystycznych napełnia nas wielką radością i wzmaga świadomość, że „Placówka" stała na placówce ideałów armji narodowej i w ciszy zimowych wieczorów wykuwała w ludziach codziennej pracy żelazne serca przyszłych żołnierzy polskich. Niech wiara w ostateczne zwycięstwo prowadzi was nowozaciężnych ochotników pod sztandarami Białego Orła — na pohybel wrażych krwiożerczych instynktów.

Wackowi Lipowskiemu. kochany przyjacielu! Ojczyzna nie wymaga krwi 12 letnich zuchów. Lepiej w tych ideałach wzrastać i krzepnąć na przyszłą jej chwałę. A na dziś radzimy zaciągnąć się do harcerskich szeregów — i te dołożą w dobie obecnej niejedną cegiełkę pod gmach budowy państwowej.

P. Z. Zamojskiej. Bardzo chwalimy ideę Pań wstrzymania się od zakupywania strojów. Zebrane pieniądze rzeczywiście znajdą lepsze zastosowanie w organizacji, która dziś przygotowuje bieliznę dla armji ochotniczej.

Kalendarzyk wojenny.

24 czerwca. Wzdłuż rzeki Auty ożywiona działalność artyleryjska. W rejonie Zwiahla nieustające ataki przeciwnika odparto z wielkiemi dla niego stratami.

25 czerwca. W dniu wczorajszym nieprzyjaciel zaatakował bezskutecznie nasze pozycje w rejonie jeziora Meszuszno. Zacięte walki oddziałów naszych z konną armją Budiennego trwają ze zmiennem szczęściem. Na linji Słuczy lokalne utarczki patroli wywiadowczych.

26 czerwca. Zacięte walki dochodzą na całym froncie do wysokiego napięcia. Oddziały grupy Poleskiej w zmaganiach z przeważającemi siłami nieprzyjaciela broniły mu dostępu do Mozyrza i Kalenkowicz. Konna armja Budiennego zajęła Jemilczyn na północny wschód od Zwiahla i starała rozszerzyć swoje powodzenie. Wszystkie ataki nieprzyjacielskie na linji rzeki Słuczy odparto.

27 czerwca. Działalność artylerji i drobne walki. Na linji Ubor i Słuczy oddziały nasze bohatersko zmagają się z masami kawalerji i piechoty bolszewickiej.

28 czerwca. Silne walki wzdłuż toru kolejowego Kalenkowicze — Rzeczyca, gdzie bolszewicy wprowadzili nowe doborowe oddziały komunistów. Po kilkudniowych daremnych próbach przejścia przez rzekę Słucz, udało się nieprzyjacielowi po zawziętych walkach przerwać nasze pozycje i wejść liczną kawalerją na zachodnią stronę rzeki. Na Podolu oddziały naszej piechoty rozproszyły koncentrujące się do ponownego atku na Starą Sieniawę oddziały nieprzyjacielskie.

29 czerwca. Na całym odcinku na północ od Bobrujska nieprzyjaciel przegrupowuje się do ataku. Na Polesiu oddziały nasze wycofały się na rozkaz z Mozyrza i Kalenkowicz. W rejonie na zachód od Zwiahla piechota nasza po przerwaniu przez kawalerję Budiennego zmuszona była do wycofania się na Korzec.

30 czerwca. Między Borysowem a Bobrujskiem bolszewicy usiłowali przeprawić się przez Berezynę. Podczas nakazanego odwrotu na Polesiu oddziały nasze stoczyły krwawe walki celem osłonięcia ewakuacji Mozyrza i Kalenkowicz. Na południowym odcinku oddziały ochotnicze gen. Bałachowicza dokonały wypadu w kierunku Sławeczna, gdzie rozproszyły tabory nieprzyjacielskie.

1 lipca. Na całym froncie walka artyleryjska oraz działalność wywiadowcza.

2 lipca. Na południe od Bobrujska nieprzyjaciel atakował nasze pozycje w rejonie Szaciłek. Na linji Uborci przeciwnik podwozi nowe siły i przegrupowuje się do dalszej akcji. Walki w rejonie Korca i Szepietówki trwają ze zmiennem szczęściem.

3 lipca. Na północ od Berezyny nieprzyjaciel usiłował przeprawić się na zachodni brzeg Berezyny. Na wschód od Równego przeciwnik unikając walki z naszemi manewrującemi kolumnami dąży za wszelką cenę do sforsowania Horynia i zajęcia Równego. Walki trwają na całej linji Horynia.

4 lipca. Dnia 3 lipca przeszedł nieprzyjaciel w rejonie na północ od toru kolego Mołodeczno—Połock do dawno oczekiwanego generalnego ataku. Na wązkim odcinku między jeziorami Szo i Szade skoncentrowali bolszewicy 5 wyborowych dywizji zasilonych znaczną ilością czołgów, aut i pociągów pancernych. Zacięta wal-

ka rozwija się. Dobre ugrupowanie naszych rezerw nie pozwoliło bolszewikom złamać naszej linji w pierwszej chwili. Na wschód od Równego oddziały nasze zmuszone zostały przez manewr kawalerji Budiennego do wycofania się z Horynia.

5 lipca. Na północy pod przemożnym naciskiem przeszło 10 dywizji nieprzyjacielskich oddziały naszej I armji zmuszone zostały do cofnięcia się. Na lewem skrzydle tej armji operują oddziały kawalerji bolszewickiej. Zacięte walki w rejonie Równego trwają. Kawalerja nieprzyjacielska przedostała się na tyły naszych oddziałów, przecinając linję kolejową Kowel—Równo.

7 lipca. Między Dźwiną a górnym brzegiem Berezyny nasze oddziały ustępują przed przeważającemi siłami bolszewickiemi. Kawalerja bolszewicka po dokonaniu ruchu oskrzydlającego ukazała się pod miejscowością Drujsk. Po kilkokrotnych daremnych usiłowaniach udało się nieprzyjacielowi sforsować Berezynę. Akcja celem odrzucenia nieprzyjaciela w toku.

8 lipca. Oddziały naszej północnej armji cofają się walcząc krok za krokiem. Koło Równego i Ostrowia trwają zacięte walki.

9 lipca. Kawalerja nieprzyjacielska, przedarłszy się na skrajnem lewem skrzydle armji, zajęła linję kolejową między Święcianami i Dyneburgiem.

Na Polesiu odparto ataki bolszewików.

Toczą się walki koło Równa.

10 lipca. Pod silnym naporem przeciwnika oddziały nasze odchodzą z linji Berezyny. Walki toczą się obecnie w okolicach Mińska. Na południe od Prypeci oddziały nasze wycofały się za Horyń. W rejonie od między Łuckiem a Dubnem utaczki kawaleryjskie.

11 lipca. Pod naciskiem ataków nieprzyjacielskich opuściliśmy linję rzeki Wilji. Trwa nadzwyczaj zacięta walka na linji umocnień Mińska. Na południe od Prypeci oddziały gen. Bałachowicza dokonały śmiałego wypadu na Owrucz.

W bitwie pod Równem armja generała Raszewskiego zadała bardzo ciężkie straty armji konnej Budiennego.

Na południe i zachód od Równego oddziały nieprzyjacielskie zacięcie atakują Dubno. Dokonał się odwrót armji gen. Romera na linję nakazaną.

PRZYPOMINAJ SOBIE JAK PRZYKAZANIE:

Pożyczka Odrodzenia. Zaciąg ochotniczy.

WSZYSTKO DLA OJCZYZNY!

Treść zeszytu XIII-go.

Warunki prenumeraty wraz z przesyłką:

W stolicy i w kraju: Kwartalnie **Mk. 110.—** Za granicą: Kwartalnie **Mk. 150.—**
W Ameryce: Rocznie **Dol. 6.—**

POLSKIE STOWARZYSZENIE WYDAWNICZE PLACÓWKA

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Nowy-Świat Nr. 40.

TELEFON 319-87 lub 9-87 (wojenny).

Redaktor Naczelny wydawnictw P. S. W. „Placówka": **Walenty Zieliński.**

Komitet redakcyjny: **Ignacy Grabowski, Tadeusz Karaziński, Eugenjusz Korwin-Małaczewski, Stanisław Pieńkowski.**

Drukarnia Rotacyjna „Kurjera Porannego", Marszałkowska 148.